

Czyste Szaleństwo

Pan Priest był bardzo niezadowolony. Nie poczynił w śledztwie żadnych postępów, a to nawet nie był najgorszy z jego problemów. Zresztą, trudno o zadowalające wyniki, jeśli ostatnie kilka dni spędziło się w swoim pokoju, jedynym miejscu, gdzie świat zdawał się w najmniejszym stopniu atakować go swym agresywnym brakiem należytego porządku.

Meadows Priest nie był wcale przesądny. Jego niezwykła zdolność kojarzenia faktów oraz analizowania codzienności podpowiadała mu po prostu, iż w obecnej chwili najlepiej dla niego byłoby znajdować się w jakimś innym, równoległym wszechświecie, gdzie całkowita liczba ciał niebieskich na niebie, była stała, nie zmieniając się co dwadzieścia minut. Każdy doświadczony przez życie kucyk doszedłby z pewnością do tych samych wniosków.

Z racji jednak tego, iż podróże pomiędzy wymiarami były dość utrudnione (przynajmniej w jedną stronę, przerażające abominacje¹, o dziwo, nie miały żadnego problemu z pojawianiem się w Equestrii) przezornemu detektywowi zostało tylko zastosować się do dość popularnego w pewnych kręgach powiedzenia „mój pokój moim zamkiem”.

Warto tutaj uprzednio wspomnieć, iż nieludzkiego wręcz wysiłku wymagało od pana Priestę zagnieżdżenie się w swojej nowej kwaterze. Kiedy już, zużywwszy ilość chusteczek, której nie powstydziliby się nawet nałogowy alergik w porze pylenia roślin, oczyścił pomieszczenie z nagromadzonego tam przez co najmniej kilka godzin kurzu, mógł zabrać się za dokładne przemeblowanie.

W sposób całkowicie nieinwazyjny względem całokształtu pomieszczenia ogier usunął wszelkie potencjalne źródła zakażenia, łącznie z wazonikiem na kwiatki, serwetką na szafce oraz pościelą na łóżku.

Wszystkie wiszące na ścianie obrazki zdjął, a następnie powiesił ponownie, tak aby ustawione były od największego do najmniejszego. Wtedy też dotarł do niego niepokojący fakt, iż odległości pomiędzy poszczególnymi gwoździkami, na których wisiały malunki, wcale nie były jednakowe. Z racji tego, iż Pan Priest, gdy już za coś się zabierał, zabierał się za to konkretnie, raz dwa pożyczył od szczerze zdziwionej właścicielki zajazdu młotek, dodatkowe gwoździki oraz szczypce i wziął się za poprawianie niewłaściwości w strukturze swojej kwatery.

Możliwe, iż prace remontowe przybrałyby o wiele szerszą skalę, gdyby nie Bell, która, zwabiona hałasami dochodzącymi z sąsiedniego lokum, wytłumaczyła

¹ Wiele z nich nazywało siebie samych „ludźmi”, tudzież „ludziami”.

jednorożcowi, iż nie można ot tak, po prostu, zabierać się za remont pokoju, który dopiero co się najęło. Klacz nie była nawet zła, nie dopytywała się, skąd Meadows wziął narzędzia, czy kilkanaście metrów kwadratowych folii, pokrywającej całe wnętrze pokoju, po prostu w sposób elokwentny wytłumaczyła niedoszłemu majstrowi, iż nie należy brać się za remont cudzych budynków bez wiedzy właściciela, ani nie należy też w ten sposób trzymać młotka, jeśli nie chce sobie wybić wszystkich zębów.

Nieco zawiedziony Priest odstąpił od swoich ambitnych planów, usprawiedliwiając się zgubnym działaniem wiejskiego powietrza.

Do innych osiągnięć podczas pobytu w zajeździe „Szczęśliwa podkowa” Meadowsa można było zaliczyć też dokładne zliczenie wszystkich paneli podłogowych, zapamiętanie, jakie dźwięki wydaje łóżko podczas siadania w poszczególnych miejscach, a także dokonanie powtórnej kwarantanny, tak dla pewności (jedną przeprowadził zaraz po wprowadzeniu się do pokoiku), zabijającej ostatecznie wszelkie nieczystości, oraz jedno z pięknych malowideł, przedstawiające niegdyś szczerzłote, letnie pola.

Teraz, po obrazie została już tylko zaśnieżona ramka, oraz smętne resztki pozwijanego, przebarwionego płótna.

Ogier oczywiście obiecał sobie (oraz, później, oburzonej Bell), iż zapłaci właścicielce za wyrządzone szkody, dodając w myślach, iż jednak trochę sama sobie była winna utrzymując pokoiki w zajeździe w tak rażąco zapuszczonym stanie.

Przygotowania do oblężenia Meadows rozpoczął od zaopatrzenia się w środki przeciw złu, nieszczęściu oraz ogólnej niesprawiedliwości losu. Wysławszy Bell z niezwykle ważną misją, czekał z niecierpliwością (zdawało się, iż całe wieki!), aż jego szalona asystentka powróci cała z samobójczej misji zakupowej.

I rzeczywiście, przybyła, zaopatrzona w: dwa szczęśliwe amulety z rzekomo pradawnych czasów sprzed wynalezienia odrdzewiacza do metali, szczęśliwą podkowę, gwizdek przywołujący dobre duchy (oraz kaczkę z okolicznych zbiorników wodnych), gustowny kapelusz z kwiatkiem („bo w przecenie był”) oraz magiczny tonik zwiększający ogólną szczęśliwość oraz libido.

Utworzywszy ochronny krąg ze zdobytych anty złych rzeczy (z pominięciem nakrycia głowy, gdyż Bell nie chciała się z nim rozstać), pan Priest, wreszcie bezpieczny od zakusów niecznej magii, mógł poświęcić się roztrząsaniu nieczystości świata oraz zagwozdki znikających budynków dobra publicznego.

Problem leżał jednak w tym, iż brakowało mu kontekstu zbrodni. O ile to w ogóle była zbrodnia. Poza faktem, iż ktoś zjawił się w dziurze na krótko po zniknięciu budynku (gdyby tak dało się dopaść tą osobę...) nie mieli zupełnie nic. Prawdą było, iż, nawet

gdy w grę wchodziła magia o niekwestionowanej mocy, powinna ona pozostawić specyficzne ślady, które ogier, jako wykształcony jednorożec, powinien bez problemu rozpoznać. Nic jednak takiego nie znalazł, tak jakby owe miejsce zbrodni wyglądało już tak od zawsze i było po prostu ciekawostką urbanistyczną tej małej, brudnej wioski.

Może – była to dość frapująca, lecz zarazem i krzepiąca alternatywa – owa potężna magia była tak potężna, że aż po prostu nie istniała. Implodowała pod wpływem własnej potęgi, czy coś...

Oczywiście, reakcja miejscowych prezentowała zgoła odmienny pogląd na tę sprawę.

Teraz, w świetle ostatnich wydarzeń, owe zniknięcie wydało się detektywowi jeszcze bardziej niepokojące. Choć nie zwykł łączyć ze sobą niepowiązanych faktów, tylko dlatego, iż wpasowywały się w jakąś wydumaną teorię, czuł jednak, że owe zjawiska były ze sobą jakoś powiązane.

Rozsądny instynkt podpowiadał mu, iż za wszystkim stała jakaś potężna siła (czarownik-intrygant, bądź coś o wiele bardziej demonicznego), a obecne wydarzenia były tylko i wyłącznie preludium do jakiegoś o wiele poważniejszej uwertury „szwindlu”.

Zresztą, skoro w bibliotece urzędowała osoba z miłością do nauki, całkiem możliwe było, iż odkryła coś, na czym zależało tajemniczemu złoczyńcy. Może i obiektem zainteresowania porywacza był sam budynek oraz zawarta w nim wiedza?

Pan Priest żałował, iż nie miał okazji poznać rezydującej w budynku klaczy. Bibliotekarze należeli zazwyczaj do najporządniejszych i najlepiej ułożonych kucyków, jakie miał okazję poznać ogier. Nie to, żeby potrzebował nowych znajomości – tych raczej unikał, mając wystarczająco dużo problemów z własną osobowością. Po prostu, desperacko poszukiwał szerszego spojrzenia na całą sprawę zniknięcia.

W końcu jednak, za namową swojej asystentki, Pan Priest opuścił ochronny krąg przeciwnieszczęściowy i powoli, niczym niemowlę, stawiające swe pierwsze kroki, wyruszył w groźny, pełen tajemnic oraz nieposortowanych odpadów, świat.

Czerwony blask mniejszego globu wciąż jednak wytrącał go z równowagi, kpiąco wyśmiewając jego umiłowanie do uporządkowanej rzeczywistości. Tym jednak razem, Pan Priest nie był sam ze swoimi odczuciami. Jego niepokój podzielała nawet Bell, o której sądził, iż była klaczą ze stali, nie lękającą się nawet najstraszniejszych rzeczy. W końcu nie można uniknąć stania się kimś takim, gdy wychowuje się samotnie trójkę dzikich, aktywnych ponad wszelką miarę, żrebaków.

Meadows, chociaż niegdyś żonaty, nie uświadczyl wątpliwego, przynajmniej w jego mniemaniu, błogosławieństwa, jakim były dzieci. Może dlatego też nigdy nie odkrył prawdziwej radości, jaka płynęła z posiadania własnego, kochającego cię szczerze,

miłością prawdziwą, pasożyta. Może dlatego też krótki kontakt z pociechami Belli starczał mu aż nadto. Pamiętny dzień, gdy jeden ze żrebaków znalazł całkowicie roztopiony od ciepła batonik wciąż jeszcze dręczył nieszczęsnego ogiera po nocach.

– Widzi pan, nie jest tak źle. – zagaiła Bell, korzystając z nadużywanej przez nią zastłony dymnej, zwanej potocznie „pozytywnym myśleniem”. Pozornym synonimem tego wyrażenia było słowo „naiwność”, oraz inne, głębiej ukryte, mówiące „miałam rację”. Bell wprost uwielbiała go w ten sposób dręczyć. – Niebo wcale nie spadło nam na głowy.

– Jeszcze – burknął jej towarzysz, rozglądając się po opustoszałej, czerwonej wiosce. Z rzadka tylko gdzieś tam przebiegał jakiś kucyk, goniąc za swoimi prywatnymi sprawami. Nie było słychać rozmów, każdy śpieszył w swą stronę, nie oglądając się za siebie i nie zwracając uwagi na pozostałych przechodniów. Atmosfera z całą pewnością zasługiwała na to, by ją nazwać przytłaczającą. Nawet ona nie podzielała (nieco wymuszonego, jak zauważył Priest) entuzjazmu Bell.

„A jednak kucykom w tej dziurze ostały się jakieś resztki zdrowego rozsądku... W przeciwieństwie do mnie” – zawyrokował ogier, po raz kolejny żałując, że opuścił swą, cechującą się odpowiednim nasyceniem barw, kwaterę. Właściwie to żałował, iż w ogóle ruszał się ze swojego rodzinnego miasta, gdzie zawsze można było liczyć na zwykłych przestępców oraz na to, że ktoś posprząta łajno z ulicy. Nie trzeba było bać się, iż jakaś wściekle czerwona kula za chwilę uczyni ci coś bardzo nieprzyjemnego, leżącego w zasięgu możliwości unoszącego się wysoko ponad ziemią globu. Pan Priest nie był do końca pewien, na co właściwie stać takie ciała niebieskie, lecz z jakiegoś powodu wcale nie miał ochoty się tego dowiadywać. Wiedział, do czego były zdolne wściekle kucyki. To mu w zupełności wystarczało.

Irytujący natłok bodźców tego miejsca przyprawiał Priesta o nieміłe sensacje.

Nie chodziło tu nawet o anomalie na nieboskłonie, tudzież na ziemi. Po prostu, w mieście mógł czuć się naprawdę sam, odizolowany od wszystkich, nawet, kiedy w rzeczywistości chodził po metropolii, załatwiając codzienne sprawy, takie jak, dajmy na to, kupowanie chleba, czy szukanie podwójnego mordercy. Nikt się nim nie interesował, w myśl zasady, żyj i daj żyć innym. Każdy miał przecież swoje problemy na głowie.

Tutaj, w tej małej wiosce, było zupełnie inaczej, przynajmniej do czasu pojawienia się czerwonego globu na niebie. Obecnie panująca atmosfera nieco bardziej przypominała miasto samotności, z którym zżył się tak bardzo pan Priest, co, gdyby nie oczywisty powód takiej nagłej zmiany, niezwykle cieszyłoby mizantropicznego ogiera.

Dwójka spacerowiczów minęła właśnie zarośniętego kucyka, którego Meadows pamiętał jeszcze z pierwszej wizyty na miejscu zbrodni. Ku wielkiemu brakowi

zaskoczenia jednorożca nadal wykrzykiwał on (nieco już zachrypniętym, lecz nadal pełnym bezkresnej rozpaczyny głosem) rozmaite hasła zwiastujące nieunikniony koniec świata. Jedyną różnicą w stosunku do wyglądu, jaki zapamiętał Priest, była kartonowa kamizelka, która to, miast zwracać uwagę przechodniów na niechybny krach rzeczywistości, zwracała teraz uwagę na niezwykle obniżkę cen sof oraz piór do pisania w pobliskim sklepie o wdzięcznej nazwie „Sofy i pióra do pisania”. Obdartus, jak każdy aktywny zwiastun zagłady/oportunista, gdy przychodziła okazja, poszerzał swe kompetencje.

Istotnie zresztą, przedmiotami o największym popycie w czasach kryzysu były kanapy oraz fragmenty ptasiego upierzenia.

– Wie pan co? Jak tak się nad tym zastanowić, to przydałaby się nam nowa sofa – oznajmiła nonszalancko Bell. Meadows nie zareagował na tę próbę nawiązania konwersacji, toteż klacz kontynuowała: – Nasza stara sypie się już w oczach. Ostatnio Nimble wylała na nią swoją kaszkę. Materiał cały się pomarszczył, jakoś tak powyginał. Celestia mi świadkiem, nie wiem, co oni tam do tych posiłków dla dzieci dodają...

Kilka trybików, odpowiedzialnych za podejmowanie decyzji (używanych niezwykle rzadko, przynajmniej z własnej woli), zaskoczyło w umyśle detektywa, przerywając smętne dumania nad wizją czerwonego kataklizmu spędzanego na nowiutkiej kanapie ze sklepu „Sofy i pióra do pisania”.

– Chciałbym jeszcze raz obejrzeć krater po bibliotece.

– ...Lily zawsze mi powtarzała, że najlepsze są tylko naturalne produkty, o których wiesz... Słucham? – zapytała klacz, nieco niezadowolona z faktu, iż jej wysiłki, mające na celu oderwanie detektywa od ponurych rozmyślań, nie dość, że nie zostały dostrzeżone, to jeszcze tak bezceremonialnie przerwane.

Dostrzegając *faux pass*, które popełnił, urywając niezwykle ważną wypowiedź niezwykle ważnemu stworzeniu, jakim była kobieta, detektyw natychmiast powściągnął swe szaleńcze zapędy i przeprosił się z ideą kanapy, jako wybawiciela narodu kucykowego w czasach niepokoju.

– Powiedziałem, iż masz rację – odrzekł po chwili Priest, stosując fortel, znany wszystkim mężczyznom już od zamierzchnych czasów.

– Wcale tego pan nie powiedział.

– Powiedziałem.

– Niby kiedy?

– Przed chwilą.

– To się nie liczy. Wcześniej?

– Wcześniej też tak mówiłem. Nawet kilka razy. Na przykład dwudziestego czerwca, w dzień urodzin twojej matki stwierdziłaś, iż Swan do twarzy jest w jej nowej sukience, a ja, zapytany o zdanie powiedziałem: „Tak, masz rację.” Kilka dni wcześniej,

też to mówiłem, gdy wspomniałaś o sprawie zaginięcia małego Featherlighta. O, a w tydzień przed Wigilią Serdeczności, kiedy to...

– Dosyć, dosyć. Zrozumiałam przesłanie.

– Jakie przesłanie? – zdziwił się zupełnie szczerze Pan Priest.

Bell przewróciła oczyma, a jej kąciaki ust uniosły się w delikatnym uśmiechu.

– Niech już panu będzie. Ja zaś w międzyczasie wstąpię do miejscowego butik. Nawet pan sobie nie wyobraża, ile tam mają ciekawych rzeczy. W takich małych miasteczkach zawsze można znaleźć jakieś ciekawe promocje.

Ogier, wyjątkowo, nawet nie próbował zastanawiać się, jak w takiej niekomfortowej sytuacji można było myśleć o promocyjnych zakupach.

Ta dziwna słabość rodzaju kucykowego do wszelkich chwytów marketingowych zawsze zastanawiała pana Priestę. On sam jakoś nigdy nie dawał się zwieść krzykliwym sloganom, czy też przesadnie imperatywnym hasłom, mającym za zadanie przekonać kucyka, iż czteropalcowe rękawiczki, dmuchana tarcza do rzutek, bądź pochłaniające pot spodnie joggingowe są dobrami pierwszej potrzeby, absolutnie niezbędnymi do funkcjonowania każdego porządnego gospodarstwa domowego. Jednego ogier był pewien: jeśli kiedykolwiek dorobił się potomka, aby zapewnić mu popularność i przychylność wśród innych kucyków, dałby mu na imię „Promocja”, ewentualnie „Wyprzedaż”. Resztę załatwiłby za niego magiczna moc owych wyrazów.

– Do zobaczenia za kilka godzin – odrzekła Bell, ruszając (zdawałoby się, ciągnięta jakąś niewidzialną siłą) w stronę skweru handlowego.

W momencie, w którym klacz oddaliła się od stojącego nieruchomo detektywa na jakieś dwa metry, Priestę ogarnął nagle gwałtowny niepokój (w odróżnieniu od możliwego do opanowania niepokoju, który towarzyszył mu permanentnie, ten o wiele zacieklej zaatakował piaskowy zamek stateczności jednorożca).

Nie zastanawiając się długo, rzucił się w paniczną pogoń za odchodzącą klaczą.

– Dwie sekundy – stwierdziła, gdy biegnący jednorożec zrównał się z, idącą statecznym, powolnym krokiem, Bell.

– Dwie sekundy... ? – ogier wziął kilka urywanych oddechów. – Ahhh – Meadows nie dawał jednak tak łatwo zbić się z pantafiku. – Ale licząc od momentu twojego odejścia, czy od momentu, kiedy zacząłem biec?

– Skąd pan może... – klacz westchnęła, dochodząc do całkiem słusznego wniosku, iż każde słowo może być teraz użyte przeciwko niej. Zbyt dobrze się znali. – Nieważne – podsumowała.

– Proszę, Bell, potrzebuję kompani.

– Panie Priest, przecież nic panu się nie stanie. Obejrzy pan sobie miejsce zbrodni, ja obejrzę najnowsze przeceny i raz–dwa spotkamy się ponownie w zajeździe. Nie ma powodów do paniki.

– Ale ta kula... – próbował wytłumaczyć swe, całkiem uzasadnione, niepokoje.

– Nie, nic ona panu nie zrobi... Księżniczka Celestia ma wszystko pod swoją pieczę. A nawet, jeśli spadnie na pana, to co da wtedy moje towarzystwo? Zgniecie nas razem? Wspaniale.

– Bell, no proszę...

Priest zbliżył się odrobinę do maszerującej obok niego klaczy. Zaczął podrygiwać w sposób absolutnie niezręczny, niemalże przy tym potykając się o nierówności w bruku. Prawdopodobnie ująłby swą towarzyszkę w błagalnym geście, jednak nieco przeszkadzał mu fakt, iż była kobietą. Kiedyś usłyszał od pewnego jegomościa, co to o życiu wiedział więcej, niż Priest zdąży się kiedykolwiek dowiedzieć, iż klaczom to w głowach tylko brudne myśli. Co jak co, ale Meadows z brudem nie chciał mieć nic wspólnego. Poza tym, kobiety, przynajmniej dla nieszczęsnego detektywa, należały, wraz z zamięłowaniem do niechlujstwa społeczeństwa, oraz znikającymi pieniędzmi z pierwszej komunii, do jednej z największych zagadek niezgadywalnych świata.

Fakt, iż ogier był kiedyś w szczęśliwym związku, niewiele w tej kwestii zmieniał.

– No dobrze – westchnęła klacz, ulegając w końcu niezaprzeczalnemu urokowi nieporadnego detektywa oraz zmartwieniu, iż drepczący obok niej ogier w końcu sukcesywnie potknie się i wyląduje ma swym najgorszym koszmarze – brudnym, wiejskim bruku.

I tak oto, po raz kolejny, pograżając się na chwilę w ciemni pomiędzy scenami, nasze detektywistyczne duo trafiło z powrotem na miejsce zbrodni. Podczas ich krótkiej podróży, jak to zwykle z wycinkami pomiędzy scenami bywa, nie wydarzyło się nic ciekawego.

Pojęcie ciekawości było jednak rzeczą względną, o czym przekonał się pewien nieszczęsny student kryptorunografii, który trafił, ku swej zgrozie, na przełomowe wśród rumpologów stosowanych sympozjum o nasadach ogonów oraz ich wpływie na *legitymizację standardowych odchyłeń krzywej Posteriora dla danej próby statystycznej*.

Dajmy na to, pewna klacz, zupełnie nie wyróżniająca się niczym spośród całej masy innych, zupełnie oryginalnych i całkowicie unikatowych postaci, usłyszawszy co nieco o tajemniczych promocjach w lokalnym sklepie odzieżowym, który, o dziwo, mimo nie największej populacji wioski prosperował całkiem dobrze, postanowiła czym prędzej wykorzystać okazję i, tak na wszelki wypadek, gdyby faktycznie niebo spadło na jej głowę, uzbroić czerep w piękny, przeceniony żelazny hełm z pierwszego kopyta.

Nieszczęśliwy traf chciał jednak, iż rzeczywistość, niczym człowiek po wypiciu pewnej ilości napoju powstającego w wyniku fermentacji, poczuła nieodpartą chęć, by pozbyć się ze swego całokształtu zalegających wewnątrz gazowych skutków ubocznych konsumpcji, które to skumulowały się w niej w efekcie zaburzeń w układzie pokarmowym wszechświata.

Czyniąc zadość swojej potrzebie, zdeintegrowała z cichym pyknięciem niedoszlą łowczynię promocji. Przyniosło to jej tymczasową, spodziewaną ulgę.

Podtrzymujący drzwi do sklepu ogier zamrugał kilka razy oczyma, a następnie, tracąc przyjazny wyraz twarzy i zastępując go ponurym marsem, wyjął swój mały notesik i postawił w nim kolejną kreskę. W takiej małej, nic nie znaczącej miejscowości działo się zadziwiająco dużo niepokojących rzeczy. Ich częstotliwość była na tyle spora, iż ów osobnik już dawno (od wizyty Małej Niedźwiedzicy, która, jako gwiazdozbiór, powinna siedzieć na nocnym niebie, a nie na ruinach zburzonych przez siebie domków) uodpornił się na zakusy wszelkich, żadnych dramatyzmu i akcji, scenarzystów oraz niedzielnych pisarzy. Skrzące notował wszelkie irracjonalne wybryki w sobie tylko znanym celu.

Tym razem na niewielkim skwerze bibliotecznym nie było nikogo. Najwyraźniej ciekawość oraz żądza tematów adekwatnych do plotkowania nieco już osłabła, do czego zapewne przyczyniło się pojawienie się na nieboskłonie czerwonego najeźdźcy.

Zresztą, sam pan Priest musiał przyznać, iż z jakiegoś powodu ta część wioski wyglądała naprawdę ponuro, z tymi wszystkimi małymi, czerwonymi domkami, oraz pustą, smutną dziurą w środku, przywodzącą na myśl jeszcze nie do końca wykopany grób dla jakiejś wielkiej, kulistej istoty.

W podobnym dole (nieco mniejszym, oczywiście) leży kiedyś jego marzenia i radości.

Brak prostej, ekscytującej się równie mocno zaginięciami, co zaręczynami, tłuszczy wzmacniał tylko przytłaczającą atmosferę placu. Budynki, niczym w żałobnym kręgu gromadziły się wokół dziury, zdawałoby się, oplakując zniknięcie ich dobrej, starej przyjaciółki.

Priest wierzył, iż budynki miały swą duszę.

Mimo napływu nieprzyjemnych wspomnień, jakaś część detektywa zmuszała go, pokonując całą, mniej asertywną, resztę, do ponownego obadania owego miejsca. Frustrowało go, iż sprawa, którą wziął na swe wątłe barki, nie poruszyła się chociażby o najmniejszy krok do przodu. Tkwił w punkcie równie martwym co panująca wokół wyrwy po bibliotece cisza.

Ogier zerknął na swoją towarzyszkę; wyraz zniecierpliwienia dawno już znikł z jej oblicza. Klacz odwzajemniła jego zafrasowane spojrzenie.

Priest wymruczał pod nosem słowa, których znacznie nawet on sam nie był do końca pewien i, wzięwszy głęboki wdech, przeszedł kilka niezwykle długich kroków, stając po raz kolejny nad wyrwą w ziemi.

Stojąca obok niego Bell gwałtownie wciągnęła powietrze.

Na dnie krateru znajdowało się ciało.

Detektyw, przyodziawszy się we właściwe obuwie do pracy w terenie, zszedł ostrożnie na dno dziury. Tym razem jego asystentka podażyła na dół wraz z nim.

Jego czuły węch zdominował drażniczy odór alkoholu, który niczym całun, spowijał leżącego na dnie nieszczęśnika. Ogier, o mętnobrazowym kolorze sierści, przywodzącym na myśl zbyt długo stojącą kawę, leżał nieruchomo, częściowo zagrzebany we wzruszonej ziemi. Jego grzywa przypominała wysuszony krzak, który, wyrwany z podłoża, przemierzał świat, niesiony wiatrem, aby w końcu przystanąć na głowie nieszczęsnego denata. Szare, sianowate włosy sterczały we wszystkie strony.

Meadows obszedł go ostrożnie. Oczy ogiera były zamknięte. Twarz nosiła na sobie znaki co najmniej tygodniowego rozstania z żyletką. Pośród nieładu na jego głowie można było dostrzec całkiem dobrze maskujący się pośród kłaków róg. Detektyw zmarszczył brwi, dostrzegając znajdujący się pod głową nieznanego niewielki przedmiot.

– Trup! – jęknęła cicho asystentka Priesta, zakrywając usta kopytem. – To straszne!

– To wcale nie trup – oznajmił spokojnie ogier. W kopycie trzymał niewielką, drewnianą tabliczkę, którą wyciągnął, możliwie jak najostrożniej, spod głowy leżącego jednorożca.

– Nie jest martwy? – zdziwiła się Bell, robiąc przy tym wielkie oczy. – Skąd pan to może wiedzieć?

Detektyw nie odpowiadał, pochłonięty swoimi myślami. Przez chwilę wpatrywał się ze zmarszczonymi brwiami w tabliczkę, by w końcu podnieść pozbawione wyrazu spojrzenie na swoją towarzyszkę.

– Po pierwsze – zaczął powoli – nasz „nieboszczyk” oddycha. – Spojrzenie Bell natychmiast przeniosło się na, delikatnie unoszącą się w górę i w dół, pierś leżącego ogiera. – Po drugie... – Priest gwałtownie wypuścił powietrze z nosa. Wysunął trzymaną przez niego tabliczkę ku klaczy. Bell dopiero teraz dostrzegła, iż owa rzecz była połączona łańcuszkiem, skrywanym wcześniej pod sianowatą grzywą, z szyją ogiera.

Asystentka obeszła leżącego jegomościa. Stanąwszy obok detektywa, odczytała nabazgrane niechlujnym pismem na kawałku drewna słowa:

„Jeżeli czytasz ten tekst, oznacza to, iż zapewne leżę jak świnia schlany do nieprzytomności w jakiś krzakach, rowie albo innym równie nastrojowym miejscu. Uczciwego znalazcę proszę o odniesienie mnie do domu, pod adres Schludna 12,

niewielki domek z przebarwionymi drzwiami i zadymionymi szybami. Łatwo poznać. Dziękuję.”

– Noo, także ten... – rzekł pan Priest, odczekawszy jeszcze chwilę, by dać czas swej asystentce na przetrawienie przeczytanego tekstu. Przy okazji uczcił też chwilą ciszy swój nieskazitelny zazwyczaj poziom czystości. Będzie potrzebował solidnego prysznica.

Zachowanie całkowitej powagi wymagało od Meadowsa nie lada wysiłku, sam smród przyprawiał go o zawroty głowy, a widok owego wykolejeńca, leżącego niczym zwierzę, zagrzebane częściowo w ziemi, napawał bezkresną odrazą.

Pan Priest darzył niezwykłym, można by rzec, sentymentem miejsca zbrodni. Z niemalże nabożną czcią przekraczał zawsze porządkowe, żółto-czerwone taśmy odgradzające, by dokładnie zbadać miejsce, gdzie go wzywano, aby po raz kolejny wykazał się swą niezwykłą intuicją i przenikliwością. Cóż z tego, iż chwilę później w tym samym miejscu pojawiał się sprawca, wyglądający zazwyczaj jak istota z najgorszych koszmarów (i to wcale nie tych, gdzie główną rolę grał brak higieny), i ogłaszał, iż powali zaraz cały świat na kolana, używając przy tym swej, zdobytej podczas jednego wieczoru dzięki korespondencyjnemu kursowi panowania nad światem, potężnej mocy. Liczyło się to, iż przez chwilę, jeden krótki moment, Priest był w swoim świecie, wspaniałym świecie, gdzie każdy, nawet najmniejszy szczegół miał znaczenie. Każdy opowiadał swoją historię, jakby tylko czekając, by ktoś taki jak Meadows uprzejmie zapytał się o skrywane sekrety. Wszystko znikало, pozostawał tylko on oraz zagadka do rozwiązania.

Fakt, iż żałosna pijaczyna wybrała sobie właśnie to swoiste *sacrum* na miejsce swojej drzemki ostatecznie wynosił tego kucyka na szczyt długiej listy osobistości, których Priest nie miał ochoty już nigdy więcej spotkać.

Niestety, przewrotny los, którego uosobieniem była obecnie Bell, miał wobec całej tej sprawy zgoła inne plany.

– To straszne – oznajmiła w końcu, obrzucając spojrzeniem znad tabliczki ogiera, jakby dopiero teraz po raz pierwszy go zobaczyła.

– Istotnie. Ja bym, co prawda, użył słowa okropne, albo hmmm... odrażające, ale sądzę, iż „straszne” też nieźle oddaje istotę rzeczy.

– Musimy mu pomóc! – klacz przeniosła swe pełne żalu spojrzenie na detektywa.

Ogier zachował kamienną twarz. Kolejna bitwa niekończącej się wojny.

– Absolutnie... Absolutnie nie. Nawet... nawet o tym nie myśl – rzekł, dość nieumiejętnie maskując zalewające go w chwili obecnej przerażenie.

– Nie możemy pozwolić, by spał w takim okropnym miejscu! To niebezpieczne...
– Bell spojrzała wymownie w górę – szczególnie teraz.

– Nie, nie nie niee... Absolutnie nie – ogier cofnął się odrobinę, ulegając naporowi perswazji Bell. Niestety, ku jeszcze większemu oburzeniu ogiera, stężenie perswazji w miejscu nieco oddalonym od klaczy było nadal zbyt wysokie.

– Panie Priest. Nie możemy pozwolić, aby ten biedak tutaj tak został. To, że kucyk ma problem, nie oznacza, iż należy go całkowicie skreślić, spisać na straty!

Ogier już od dawna podejrzewał, że chęć pomocy oraz ratowania wszystkich i wszystkiego doprowadzi go kiedyś do zguby. Owa zguba zbliżała się właśnie, w dodatku coraz większymi krokami. Ironicznie jednak, ta sama zguba stała w miejscu i wpatrywała się swoimi wielkimi, pełnymi skargi i żalu oczami w nieszczęsnego Meadowsa.

– Nie mam najmniejszego zamiaru mu pomagać.

– Oj, no proszę, czyli biedna, słaba klacz ma dźwigać wielkie, ciężkie cielsko biedaka, bo pewnemu detektywowi nie chce się kiwnąć kopytem?

– Bell, dobrze wiesz, że nie o to chodzi...

– Dobrze wiem, o co chodzi – fuknęła. – Skoro jednak brzydzi się pan pomóc temu nieszczęśnikowi, skazując go tym samym na smutny los, tylko dlatego, iż ma... problem, niech i tak będzie. Ja zaś nie pozostanę bezczynna i spełnię prośbę zapisaną na tabliczce.

Klacz cisnęła drewnienko, które, gdyby nie sztywne, patykowate włosy ogiera, z pewnością dokonałoby poważnego uszkodzenia jego czaszki. Poszkodowany jednak nie drgnął, tylko chrząknął w sposób absolutnie odrażający.

Pan Priest stał, zmieszany, zastanawiając się, w jaki sposób wytłumaczyć naiwnej Bell, iż próby pomocy takim jak on są całkowicie pozbawione sensu. Jeśli ktoś stoczył się do rowu (w sposób metaforyczny, oczywiście), to, jeśli sam nie będzie chciał z niego wyjść, nikt nie będzie w stanie go z niego wyciągnąć.

Klacz najwyraźniej nie zdawała sobie z tego sprawy, z trudem powstrzymując mięśnie twarzy krzywiące się w skutek dominującego smrodu, próbując pociągnąć śpiącego niczym kłoda pijaczynę. Nieznajomy jednak nie miał wcale ochoty się ruszyć, co tylko potwierdzało teorię Priestę, iż wcale nie było mu w tym rowie tak źle.

Bell warknęła, gdy torba, wisząca dotychczas na jej grzbiecie, zsunęła się podczas prób nakłonienia śpiącego do opuszczenia dziury po bibliotece. Oprócz niezaprzeczalnego współczucia dla bliźniego zaczynała od niej bić coraz silniejsza irytacja na wrodzoną inercję pijaka. Upojenie alkoholowe do tego stopnia stopiło jego szare komórki, iż nawet nie raczył się obudzić, gdy coraz bardziej poddenerwowana klacz próbowała zmusić jego bezwładne ciało do ruchu jednostajnego w kierunku brzegu krateru.

Pan Priest w międzyczasie, jak przystało na prawdziwego *gentlecolta*, kibicował upartej klaczy, od czasu do czasu dając jej przydatne wskazówki na temat kierunku

wspinaczki oraz ostrzegając przed potencjalnymi źródłami zanieczyszczenia, które Bell z wyraźną premedytacją ignorowała.

Dotarłszy wreszcie na samą górę, klacz westchnęła, przy okazji odgarniając grzywę, która opadła jej na czoło. W jej oczach paliła się nieopanowana żądza mordy.

– Panie Priest! – warknęła ku stojącemu, jak jej się zdawało, z całkowicie niewinną miną, w dziurze ogierowi. – Proszę tu natychmiast przyjść i pomóc mi zanieść tego nieszczęśnika do jego domu. – oznajmiła tonem, nie znoszącym sprzeciwu, który znany był tylko wysokiej rangi wojskowym... oraz pewnym przedstawicielkom płci żeńskiej. Biada, gdy obydwie postacie okazywały się być tą samą klaczą.

Żarty się skończyły, Priest doskonale o tym wiedział. Zwrócenie uwagi na fakt, iż ów pijak, prędzej, czy później, sam wróciłby do swojego domu, byłoby równie samobójcze, jak wspomnienie jakiegokolwiek klaczy (żeby nie było, że chodzi akurat o Bell), iż nieco ostatnimi czasy przytyła.

– Pomożesz mi, choćbyś miał później moczyć się przez co najmniej w tydzień w balii z płynem do mycia naczyń – dodała, całkiem zręcznie sugerując, iż jeśli nie dołoży swego udziału w ratowaniu tego nic nie wartego kłosa, zadba osobiście, by ów tydzień spędził *pod* powierzchnią płynu w balii, bez możliwości zaczerpnięcia powietrza.

Bell niemal zionęła niepowstrzymaną chęcią pomocy.

Dla zyskania odrobiny czasu Priest spojrzał w niebo. Przeszedł go dreszcz, gdy czerwony glob odwzajemnił się szyderczym grymasem. Czy tylko wyśmiewał się z bezradności ogiera, czy może szykował coś o wiele gorszego od taszczenia przez miasto cuchnącego niczym rynsztok ogiera?

„Czyste szaleństwo” – osądził w myślach.

Życie w bibliotece toczyło się swoim naturalnym rytmem.

Inną sprawą było, iż rytm ten pochodził najprawdopodobniej z gatunku muzyki, który generowany był przez tartaki oraz hale fabryczne w czasie największego zapracowania.

Spike nie był do końca pewny, ile czasu minęło od ich przymusowej podróży do wymiaru zmutowanych zombie–leniwców (które w dodatku były niewidzialne, gdyż dotychczas jeszcze żadnego nie udało mu się dostrzec), lecz wiedział, iż upłynęło go zdecydowanie za dużo. Wysnuwając ową opinię nie miał też, jako punktu odniesienia, tylko i wyłącznie siebie.

Pobyt w tym niegościnnym miejscu nie służył zarówno czarodziejce, jak i jej małemu smokowi. Z każdym dniem było coraz gorzej, aż w końcu nastąpił punkt kulminacyjny symfonii szaleństwa.

– Spike! Spikeee! Spikeeee! – klacz darła się w niebogłosy, wzywając swego asystenta na parter biblioteki, zapewne do pokoju, w którym całymi dniami ślęczała nad książkami, szukając odpowiedzi na dręczące ją pytania. Mały smoczek, odczuwając irytację zmieszaną z przestracaniem przerwał czytanie po raz nie-wiadomo–który swojego ulubionego komiksu o przygodach Kapitana Żbika. Asystent fioletowej klaczy westchnął, przytulił delikatnie ostatnią przystań normalności, a następnie, obiecując, iż zaraz wróci, wstał niechętnie i podreptał ku wzywającej go Twilight.

Smoczek ostrożnie wkroczył do pomieszczenia, gdzie niepodzielnie królowała fioletowa klacz. Królowała niczym szaleni władcy rodem ze starych legend i podań.

Na niewielkim biurku, przy którym zwykła przesiadywać Twilight, wałało się teraz mnóstwo książek przeróżnych rozmiarów i kolorów. Niektóre były zamknięte, niektóre otwarte, a pewne oscylowały w jakiś tajemniczy, nieznany smokowi sposób, pomiędzy dwoma, wymienionymi wyżej stanami.

Co prawda nieporządek, który spowodowały eksperymenty magiczne bibliotekarki, już dawno zniknął, do czego, z dumą po fakcie (a narzekaniem w trakcie) przyłożył swoją łapkę mały asystent, lecz wrażenie ogólnego nieładu nadal niepodzielnie panowało w bibliotece.

Wysokie regały, usytuowane już teraz w należytych dla nich miejscach, ziały dziurami, przypominając smokowi jakąś zabawną, drewnianą odmianę sera.

Duże stężenie owych, wyjętych z ich należytych miejsc, książek na drewnianym biurku wskazywało, iż to właśnie wokół tego miejsca najczęściej orbitowała młoda czarodziejka.

Nie jednak wrażenie nieładu było najstraszniejsze.

– No Spike, guzdrało, nareszcie jesteś – klacz zatarła kopyta, w sposób, który, gdyby Spike nie znał tak dobrze klaczy, zwiastowałby coś bardzo niemiłego, przynajmniej dla jednej ze stron.

– No, jestem... – potwierdził ostrożnie.

Grzywa przypominająca coraz bardziej szczotkę do czyszczenia toalet, oraz niemiła, stęchła woń mola książkowego świadczyły o tym, iż bardziej niż asystenta czarodziejka potrzebowała solidnej kąpieli. Nienaturalnie wąskie źrenice jasno wskazywały, iż klacz znajdowała się na skraju załamania nerwowego. Mogła też, w sumie, ów skraj już przekroczyć.

– Jesteśmy uratowani, Spike! – krzyknęła.

Smoczek, wykazując się niezwykłym rozsądkiem, powstrzymując przy tym swój entuzjizm, zerknął ukradkiem na okno; nic się nie zmieniło, nadal rozpościerała się za nim atramentowoczarna ciemność.

– Jesteśmy?

– Posiadłam niezwykłą moc, potężną moc!

– Posiadłaś?

Klacz nonszalancko potruchtała ku swojemu biurku. Znad stosu książek ledwo było widać głowę podnieconego jednorożca.

– Posiadłam moc rozmawiania ze zmarłymi!

Spike wytrzeszczył oczy.

– Tak jest! – rzekła klacz, dostrzegając reakcję smoka. Wydawała się wręcz niewłaściwie zadowolona. – Ba, odkryłam, iż mogę wskrzeszać umarłych, zmuszać ich, by mówili do mnie, dzieli się ze mną swą pradawną wiedzą.

– Na... naprawdę?

Klacz zaśmiała się w sposób, który zazwyczaj rezerwowany był dla szalonych naukowców, podziwiających, jak ich myszo–kuro–małpo–żuk powstaje właśnie do życia, by siać zamęt oraz pszenicę i żyto.

– Zmuszam ich, by wyjawiali mi swe tajemnice, tajemnice wyrwane śmierci! Dawne wieki mówią do mnie, przemawiają, a ja ich słucham!

– Ich... ich słuchasz?

– Tak jest! Czyż to nie ekscytujące? Zmarli mówią do mnie! Wydieram im ich tajemnice i robię z nich odpowiedni użytek! Posiadam potęgę, o której nikomu się jeszcze nie śniło.

Mały smoczek czuł, jak zaczynają przechodzić go zimne dreszcze. Nagle zapragnął znaleźć się – wraz z Kapitanem Żbikiem – pod kocykiem swego bezpiecznego koszyka.

– Nekromancja jest przyszłością, Spike! Przyszłością! – klacz wyciągnęła szyję znad książkowej fortecy, świdrując ścianę na lewo od ucha Spike’a dzikim spojrzeniem.

Niepokojące odgłosy, które, jak przypuszczał smoczek, wydawało pole siłowe wokół biblioteki, zaczęły, zdawało mu się, przybierać na sile.

Młody asystent nie znał się na magii ani na psychologii, lecz miał niejasne wrażenie, iż zdolność utrzymywania potężnej osłony malała wraz ze wzrostem natężenia szaleństwa w tym wypełnionym książkami pomieszczeniu.

– Wiesz co jest najlepsze? Zmarli są wszędzie! Wszędzie, wokół nas! – klacz machnęła kopytem, obejmując nim wszystkie ściany, wraz ze stojącymi przy nich regałami.

Teraz to już młody smok przeraził się nie na żarty.

– Mogę ich przywoływać, pokazać ci?

– Prawdę mówiąc... to wo–wo–wolałbym nieeee... – Spike wykonał przezorny krok do tyłu, wspomagając swój mocno umiarkowany entuzjazm wyciągniętymi przed siebie łapami. Klacz jednak nie przejęła się brakiem aprobaty swojego podopiecznego. Wygiąwszy się, niczym niespełny rozumu poeta, prawiący monologi do czaszek, chwyciła jedną z leżących na biurku książek.

W pełnym dramatyzmu geście otworzyła tomiszcze, unosząc je wysoko do góry.

– Posłuchaj, co zmarli mają do powiedzenia! – zakrzyknęła.

Metaforyczny grzmot przetoczył się poprzez bibliotekę pośrodku pustki (prawdziwych zjawisk pogodowych niestety nie dało się uświadczyc w tym niegościnnym miejscu).

Bulgotanie i ciche skrzypienia niestabilnego pola dochodzące z zewnątrz były przez chwilę jedynymi dźwiękami słyszalnymi w bibliotece.

Klacz odchrząknęła, a następnie nieco obniżyła poziom, na którym trzymała książkę, dzięki czemu mogła teraz odczytać mrozące krew w żyłach słowa:

– *Lorem ipsum dolor sit amet, consectetur adipiscing elit. Proin nibh augue, suscipit a, scelerisque sed, lacinia in, mi. Lorem ipsum, lorem ipsum, lorem ipsum...*

Twilight przerwała, rozglądając się niewidzącym, oszalałym wzrokiem po pomieszczeniu. Jak można się było domyślić, odczytanie owego tekstu nie spowodowało absolutnie nic.

– Wspaniale, nieprawdaż? – zapytała, drżącym od ekscytacji głosem, dostrzegając wyraz bezkresnego przerażenia, malujący się na twarzy Spike’a.

– Co co? – wydukał strachliwie smok z czubka najwyższego regału, na który wdrapał się, podczas recytacji diabolicznej inkantacji, za pomocą drabiny. W razie wyłonienia się z podłogi przywoływanych przez czarodziejkę zombie leniwców, zajęcie możliwie jak najwyższej pozycji wydawało się mu całkiem sensownym pomysłem.

– Przywołałam właśnie zmarłych!

Smoczek jęknął i zacisnął powieki.

– A gdzie oni są? – wyjęczał, prosząc w duchu, aby odpowiedź nie brzmiała: „jeden właśnie siedzi obok ciebie”.

– Gdzie oni są? – doszedł do uszu Spike’a zdziwiony głos bibliotekarki. – W tych oto księgach. Ich słowa, ich mądrość, wiedza, doświadczenie! Pradawne słowa, a je wskrzeszam! To właśnie prawdziwa istota nekromancji! Wskrzeszanie dawno zmarłych figur poprzez ich porzekadła, przekonania, rady! Potęga!

– Zaraz... Ta cała nekromancja polega na czytaniu książek? Tylko czytaniu? – zapytał z niedowierzaniem Spike.

– Oczywiście! A coś ty myślał, głuptasie? Że trupy zaczną nam wychodzić z podłogi? Czyż samo ożywianie dawno temu wypowiedzianych słów nie jest dla ciebie dostateczną potęgą? – zapytała z wyraźnym wyrzutem.

Smok zaryzykował odemknięcie jednego oka.

Z krótkich oględzin wynikało, iż, rzeczywiście, całkowity stan postaci żywych (bądź animowanych, i to nie za pomocą Flasha, lecz czarnej magii) nie uległ zmianie.

– Jest, jest – zapewnił smok pośpiesznie.

– Posiadłszy tę wiedzę, stoję teraz wyżej, niżli stał ktokolwiek w historii świata!

Spike spojrział sceptycznie na swoją opiekunkę. Było to oczywistą nieprawdą, chociażby biorąc pod uwagę fakt, iż obecnie to właśnie mały smok znajdował się o wiele wyżej, niż czarodziejka. Regały w bibliotece były bardzo wysokie.

Klacz wydała kilka dziwnych dźwięków, a następnie z wyrazem niezaprzeczalnej radości osoby przekraczającej właśnie skraj załamania nerwowego, pochwyciła kolejną książkę, tym razem o wiele mniejszą. Otworzył ją gdzieś w środku, zaczęła czytać z przesadną emfazą:

– *Oddzielić żółtka od białek. Białka ubić na sztywną pianę. Dalej ubijając, dodać stopniowo cukier. Dalej miksując, dodać po jednym żółtku.*

W miseczce wymieszać obie mąki z proszkiem do pieczenia. (Najlepiej, jeśli mąkę przesiejemy, wtedy będzie pulchna i unikniemy grudek). Dodawać porcjami do masy jajecznej, delikatnie mieszając łyżką drewnianą. W międzyczasie dodać wodę. (Dodając mąkę i wodę można dalej miksować mikserem, ale na najmniejszych obrotach. Miksować chwilę, tylko do połączenia składników).²

Twilight przerwała, by zaczerpnąć oddechu. Smok wykorzystał okazję, bojąc się zresztą, iż za chwilę jego przyjaciółka zemdleje, na co wyraźnie się zanosilo. Nie miał najmniejszej ochoty zostawać sam w tym, wypełnionym po brzegi przytłaczającą atmosferą, domu.

– To bardzo ciekawe i w ogóle, Twilight, ale... jak to pomoże nam wrócić do Ponyville?

– Pomóc... Ponyville – powtórzyła bezwiednie klacz, potrząsając książeczką kucharską, z której wyleciało kilka kolorowych zakładek. Wyraźna desynchronizacja pomiędzy mrugnięciami lewego i prawego oka, oraz gwałtowne ruchy uszu składały się na bardzo niemiły widok.

– No wiesz, do domu... prawdziwego domu. Kończy nam się jedzenie...

– Domu... – wyszeptała klacz.

Prawdopodobnie w tym miejscu nieszczęsna Księżniczka oraz Element Magii załamała by się na dobre, pograżając się w całkowitym szaleństwie i rozpacz, będącej częściowym efektem zbyt długiego zamknięcia w pomieszczeniu z zbyt dużą ilością książek oraz zbyt małą ilością odpowiedzi.

Niestety, nic takiego nie nastąpiło, czego zasługę można w pewnej mierze przypisywać polu ochronnemu wokół biblioteki, które zakończyło swą egzystencję kilkoma głośniejszymi trzaskami.

W pokoju zapanowała nagle niesamowita cisza.

Zarówna Spike, jak i Twilight nadstawili uszu, niczym zwierzyzna, świadoma, iż właśnie zostaje otoczona przez drapieżnika.

²

Przepis ze strony

<http://www.domowe-wypieki.pl/przepisy-ciasta-biszkoptowe/344-przepis-na-biszkopt-universalny> . Próbujesz na własną odpowiedzialność.